

Wchodzimy w ciekawe czasy

17 lipca 2020

12 lipca zakończył się w Polsce wyścig w workach do prezydentury między dotychczasowym prezydentem Andrzejem Dudą, a pretendującym do tego stanowiska Rafałem Trzaskowskim.



O ile kampania wyborcza przed pierwszą turą jeszcze nosiła pozory rzeczowości, to przed drugą wszelkie pozory zostały już odrzucone. Można w niej wyróżnić dwa nurty: obietnic nie tylko bez pokrycia, ale nawet bez uwzględniania konstytucyjnych możliwości polskiego prezydenta, który wprawdzie ma najsilniejszą w państwie legitymację demokratyczną, ale ma bardzo mało realnej władzy, bo tę ma Rada Ministrów i jej prezes. Tak naprawdę jedynym realnym uprawnieniem prezydenta, przy pomocy którego może on wpływać na politykę państwa, jest prawo wetowania ustaw. Owszem, prezydent ma też inicjatywę ustawodawczą, ale jej skuteczność zależy od istnienia parlamentarnej większości, która by ją przeforsowała. Jeśli takiej większości nie ma, prezydent może zgłaszać ustawodawcze inicjatywy – jak to się kiedyś mówiło – „na Berdyczów” („a giten cześć, pisz na Berdyczów!”). Tymczasem obydwaj kandydaci licytowali się w obietnicach, czego to oni nie zrobią, że będą dusili ludzi gołymi rękami i tak dalej – jakby sami uwierzyli w swoją wszechmoc. Nie jest to zresztą wykluczone, bo wściekła wyborcza udziela się przecież nie tylko zwykłym obywatelom, rozhuśtywanym emocjonalnie przez media zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, ale i samym kandydatom, których własna propaganda też emocjonalnie rozhuśtuje, aż do białej gorączki. Drugim nurtem kampanii były wzajemne oskarżenia. Gdyby wszystkie były prawdziwe, a przynajmniej połowa, to trzeba by przyjąć, że do wyścigu do prezydentury stanęli dwaj najwięksi szubrawcy. Myślę, że to nieprawda, ale nieważne, co ja myślę, tylko – jak w tej sytuacji obywatele mają swoich prezydentów szanować? O tym nie ma mowy, toteż nic

dziwnego, że demokracja polityczna degeneruje się w zastraszającym tempie i coraz więcej ludzi zaczyna jej nienawidzić.

W drugiej turze głosowało nieco ponad 68 procent obywateli. Dotychczasowy prezydent Andrzej Duda uzyskał nieco ponad 51 procent głosów, podczas gdy Rafał Trzaskowski – prawie 49 procent. Różnica zatem nie jest zbyt duża, chociaż wystarczająca do ogłoszenia przez Państwową Komisję Wyborczą oficjalnego zwycięzcy. To jednak nie jest ostateczne, bo zgodnie z konstytucją, ważność wyborów prezydenckich stwierdza Sąd Najwyższy, w którym gryzą się ze sobą sędziowie skupieni w dwóch partiach politycznych; jedna to tzw. „sędziowie starzy”, co to jeszcze „samego znali Stalina” („stary towarzysz, zasłużony, samego jeszcze znał Stalina...”), a druga, to „sędziowie młodzi”, którzy Stalina już nie znali. Ta okoliczność jednak ani jednym ani drugim nie przeszkadzała, by mogli zostać tajnymi współpracownikami jak nie Urzędu Ochrony Państwa, to Wojskowych Służb Informacyjnych, jak nie Wojskowych Służb Informacyjnych, to Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jak nie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, to Agencji Wywiadu. Jak nie Agencji Wywiadu, to Służby Wywiadu Wojskowego, jak nie Służby Wywiadu Wojskowego, to Służby Kontrwywiadu Wojskowego, jak nie Służby Kontrwywiadu Wojskowego, to Centralnego Biura Śledczego, jak nie Centralnego Biura śledczego, to Centralnego Biura Antykorupcyjnego, jak nie Centralnego Biura Antykorupcyjnego, to przynajmniej Policji Skarbowej. Jak widzimy, możliwości jest sporo, a o tym, że mogłyby być one wykorzystywane i to w skali masowej, świadczy informacja, że UOP i ABW prowadziły w swoim czasie, a może i nadal prowadzą, „operację Temida”, której celem był werbunek agentury właśnie w środowisku sędziowskim. Byłoby dziwne, gdyby inne bezpieczeniackie watahy chwalebnie się przed takim werbunkiem powstrzymywały. O tym oczywiście nie ma mowy; one tylko lepiej się konspirowały. Z tego powodu decyzja Sądu Najwyższego zależy od tego, co w tej sprawie postanowią stare kiejkuty, czyli rada najwyższa

przedstawicieli najważniejszych ubeckich dynastii, a z kolei ich decyzja zależy od dyspozycji, jaką dostaną od swoich zagranicznych central. Demokracją bowiem, jak wiadomo, ktoś musi kierować. Toteż już 13 lipca, kiedy okazało się, że Rafał Trzaskowski jednak nie wygrał, chociaż oczywiście „powinien”, w „Gazecie Wyborczej” pokazały się opinie, wsparte ekspertyzami wynajętych ekspertów, że wybory zostały „sfałszowane”. Najwyraźniej wojna polityczna w Polsce, która jest jedynie przełożeniem przepychanek między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi o wpływy w Europie Środkowej, nie tylko nie ustanie, ale rozgorzeje ze zdwojoną siłą.



Sukces ma wielu ojców, klęska jest sierotą – powiada przysłowie. Toteż w obydwu obozach, to znaczy – w obozie płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm, popierającym prezydenta Dudę, jak i w popierającym Rafała Trzaskowskiego obozie zdrady i zaprzaństwa, rozpoczęły się poszukiwania winowajcy. Obydwa obozy nieubłagany palcem zgodnie wskazały na Konfederację, z tym, że o ile obóz zdrady i zaprzaństwa nieubłagany palcem wskazał na „faszystów”, to obóz płomiennych dzierżawców – na „ruskich agentów”, którym w dodatku „śmierdzą onuce”. Chodzi o to, że „faszyści” nie poparli Rafała Trzaskowskiego, który w przeciwnym razie mógłby wygrać, a ruscy agenci kierowali się swoim partyjniackim interesem, a nie interesem państwowym, który polega na podporządkowaniu wszystkiego partyjnym interesom Prawa i Sprawiedliwości. Tak w każdym razie uważa pan red. Tomasz Sakiewicz, kawaler wysokiego orderu ukraińskiego – a nie jest w tym mniemaniu odosobniony. W tej sytuacji obydwie zwalczające się obozy zjednoczą się w walce o rozgromienie Konfederacji, przy czym będzie tu zastosowana metoda marchewki i kija. Marchewką ma być korumpowanie, głównie środowisk narodowych, poprzez rozmaite „fundusze” futrowane przez spółki Skarbu Państwa, a kijem – sprawy operacyjnego rozpracowywania wszczynane przeciwko politykom Konfederacji przez ABW. Okres

umizgów sprzed drugiej tury wyborów skończył się definitywnie i teraz rozgorzeje wojna na wyniszczenie.

Ale to tylko jeden front, bo drugi będzie przebiegał wewnątrz obydwu obozów. W obozie zdrady i zaprzaństwa rozpocznie się dintojra, podobna do tej, jaka rozgorzała po ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych. W jej następstwie doszło do obalenia Grzegorza Schetyny, a jego miejsce stanowisko przewodniczącego PO zajął poseł Borys Budka. Teraz Nemezis dziejowa może osiągnąć i jego („nie znałeś litości panie i my nie znajmy litości”), ale to jeszcze nic, bo oto legendarny Władysław Frasyniuk, który jeszcze w niedzielę mało nie zniósł jaja, by tylko wygrał Rafał Trzaskowski, w poniedziałek podzielił się z Polakami opinią, że Platforma Obywatelska jest już intelektualnie niezdolna do wykreowania żadnych nowych idei. Jeśli do takiego wniosku doszły również stare kiejkuty, to możemy liczyć się z dekompozycją dotychczasowego obozu zdrady i zaprzaństwa, a z tych zgłiszcz i pacjentów politycznych lazaretów zostanie sklecona nowa silna formacja polityczna, która będzie stręczyć się obywatelom już pod nowymi sztandarami. W takiej sytuacji rolę jasnego idola mógłby pełnić Szymon Hołownia, który – jako katolik zawodowy – próbował otworzyć się na katolików postępowych i to nie bez powodzenia, jako że Platforma poszła ostro na lewo, podejmując walkę z Kościołem i religią. Wprawdzie dzięki temu Rafał Trzaskowski zabrał cały wiatr z żagli Robertowi Biedroniowi – no ale nie wygrał. Nie jest zatem wykluczone, że stare kiejkuty nakazą nowej formacji otworzyć się w stronę umiarkowanego centrum, a w tej sytuacji dlaczego w roli jasnego idola nie obsadzić pana Hołowni?

Z kolei z obozu płomiennych dzierżawców też dobiegają groźne pomruki, tym razem skierowane przeciwko pobożnemu pośłowi Jarosławowi Gowinowi, który na początku maja się rozdokazywał. W następstwie tego wybory 10 maja, w których Andrzej Duda zmiażdżyłby posągową Małgorzatę Kidawę-Błońską, zostały zablokowane. Jestem pewien, że Naczelnik Państwa będzie starał

się pomścić to upokorzenie i nerwy przed drugą turą wyborów, w związku z tym pojawiają się fałszywe pogłoski, że zamiast „Porozumienia” – bo tak nazywa się 18 reprezentacja parlamentarna dowodzona przez pobożnego posła Gowina – uczestnikiem „dobrej zmiany” zostanie 30-osobowy klub parlamentarny Polskiego Stronnictwa Ludowego, które po nieszczęśliwych dla siebie wyborach prezydenckich może nawet zwiększyć swoją 100-procentową zdolność koalicyjną. Nie wiadomo bowiem, jak w tej, ostatniej już możliwej kadencji, będzie zachowywał się prezydent Duda, który teraz już nie potrzebuje aparatu wyborczego PiS i Naczelnika Państwa – zwłaszcza gdyby planował kontynuowanie politycznej kariery w instytucjach europejskich, do czego już w poniedziałek 13 lipca zaczął go kusić niemiecki „Die Welt”.

Autorstwo: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: Goniec.net